

**Marcel Kościańczuk, Katarzyna
Thiel-Jańczuk, Rafał Koschany,
Małgorzata Jankowska, Agnieszka
Doda-Wyszyńska, Piotr Jakubowski**

Tłum nie ma władzy

Studia Kulturoznawcze nr 1 (3), 215-227

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Tłum nie ma władzy

Dyskusja panelowa nad książką *Wynaleźć codzienność. Sztuki działania* Michela de Certeau, tłum. K. Thiel-Jańczuk, Wyd. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2008

W dyskusji panelowej udział wzięli pracownicy i doktoranci Zakładu Semiotyki Kultury UAM: Marcela Kościańczuk (moderator dyskusji) (M. K.), Katarzyna Thiel-Jańczuk (K. T.-J.) (tłumaczka), Rafał Koschany (R. K.), Małgorzata Jankowska (M. J.), Agnieszka Doda Wyszzyńska (A. D.-W.) i Piotr Jakubowski (P. J.). Dyskusja odbyła się w maju 2010 r.

M. K.: Witam wszystkich zebranych. Będziemy dziś dyskutować nad problematyką książki Michela de Certeau *Wynaleźć codzienność. Sztuki działania*. Mamy niewątpliwą przyjemność debatowania z autorką polskiego przekładu tej pozycji. Kasiu, jesteś drugim autorem tej książki (jak Anna Legeżyńska nazywa tłumacza), powiedz, jak Ci się tłumaczyło tę książkę, jakie miałaś problemy z tym tekstem i jak w ogóle zaczęła się Twoja przygoda z Michele de Certeau?

K. T.-J.: W pewnym sensie to był przypadek. Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, do którego wysłałam kilka miesięcy wcześniej moje dossier, odezwało się do mnie z propozycją przekładu tej książki. Tekst ten był mi już znany, odwoływałam się do niego w moich publikacjach i z tego powodu zgodziłam się na tę pracę. Muszę jednak powiedzieć, że jak zwykle w takich okolicznościach terminy były bardzo napięte, więc nie było, niestety, mowy o możliwości pogłębionych studiów nad dorobkiem Michela de Certeau, przynajmniej nie w satysfakcjonującym mnie stopniu.

M. K.: Czy miałaś jakieś problemy z tekstem?

K. T.-J.: Hm... praca nad przekładem nie była łatwa.

M. K.: Z czego ta trudność wynika? Kiedy czytałam książkę, myślałam o tym, że niezwykle trudne dla tłumacza musi być nasycenie tego tekstu. Z jednego zdania można tu wyczytać historię czy legendę, posługując się metaforami Certeau. Ta wielość metafor, symboli i innych środków poetyckiego obrazowania sprawia, że książka wydaje się piekielnie trudna do przełożenia.

K. T.-J.: Tak, na pewno. Certeau nieustannie odwołuje się do innych tekstów, książka jest przesiąknięta tymi odniesieniami, obawiałam się, że nie będę w stanie odnaleźć ich źródeł i niewykluczone, że w kilku przypadkach tak się stało. Pomocne okazały się tu wskazówki redaktora naukowego, pani profesor Ewy Rewers.

M. K.: Rozumiem. Czyli Certeau nie był takim typem porządnego, skrupulatnego naukowca, który dokładnie wskazuje czytelnikowi, gdzie szukać źródeł jego cytatów czy nawiązań?

K. T.-J.: Nie, te odwołania były właściwie splecione bardzo ściśle z tekstem. Jeśli dobrze pamiętam, we wstępie jest mowa o tym, że odniesienia te lokalizowała Luce Giard, jego współpracowniczka. Drugą trudnością był sam styl Michela de Certeau, ponieważ jest on kondensacją tego wszystkiego, co trudne w języku francuskim. Napotykamy tu całą masę zabiegów gramatycznych, które nie istnieją w języku polskim, przeskakiwanie z jednej kategorii gramatycznej do drugiej, z czasownika czy przymiotnika do rzeczownika poprzez dodanie rodzajnika..., np. z czasownika wierzyć, *croire*, do rzeczownika *le croire*. Z tych różnic gramatycznych wynika konieczność np. oddania w języku polskim francuskich przymiotników za pomocą rzeczowników, np. *Naval et carceral* w tytule jednego z rozdziałów, które w moim przekładzie brzmi *Okręt i więzienie*.

M. K.: Wiele jest tu też gier brzmieniowych, prawda?

K. T.-J.: Tak, chciałam również o tym wspomnieć, bo to nadaje temu tekstowi wymiar literacki. Certeau wiąże go z dbałością o język, z zabawą słowem, a ściślej: jego brzmieniem. Na przykład we wspomnianym już rozdziale *Okręt i więzienie* Certeau opisuje ludzi, którzy siedzą w wagonach w czymś w rodzaju „nimbów” i „nisz” (fr. *alvéoles, auréoles*). Wydawało mi się, że gra dźwiękami „a” i „l” nie jest tu przypadkowa, a więc trzeba było sobie z tym w przekładzie „poradzić”, używając określenia Certeau.

M. K.: Bardzo podobały mi się twoje strategie translatorskie, które zastosowałeś, by wychwycić brzmienie francuskich piosenek czy wierszyków dziecięcych, próbując oddać nie tyle ich sens, ile melodię, przy wykorzystaniu polskich przysłów czy rymowanek (przybliżone tłumaczenie było w przypisie).

K. T.-J.: Tak, w tych piosenkach i wierszykach istotne było zjawisko aliteracji oraz rytm. Starłam się podać polskie przykłady zawierające podobne chwytły. Przysłowia, niestety, są nieprzetłumaczalne. Pojawiła się tam również wylicznka dziecięca, w tym przypadku też byłam zmuszona pozostawić tekst w oryginalnej wersji językowej, z wyjaśnieniem w przypisie. Tym bardziej że chodziło tu głównie o stronę dźwiękową, o głosy i odgłosy. Wylicznka ta jest nieprzekładalna...

M. K.: Skoro mamy okazję Cię gościć, to chciałabym zapytać, czy wiesz coś o planach wydawniczych/translatorskich dotyczących innych książek Certeau? Mnie bardzo interesowałaby np. ta dotycząca historii, *Écriture de l'histoire*.

K. T.-J.: Fragmenty tej książki są przetłumaczone na język polski przez Halinę Bortnowską i Krzysztofa Jarosza. Natomiast *Wynaleźć codzienność* to pierwsza książka Certeau, która została przetłumaczona w całości na język polski, ale ta książka ma też drugi tom i wiem, że są plany dotyczące tej drugiej części. Otrzymałam zresztą propozycję tłumaczenia tej pozycji¹. Z tym, że ta książka...

R. K.: Jest dwojga autorów.

K. T.-J.: A nawet trojga, bo obok dwu rzeczywistych autorów, Pierre'a Mayola i Luce Giard, uwzględniony jest także, nieco symbolicznie, sam Michel de Certeau, choć książka powstała już po jego śmierci. Zamieszczono tu zresztą jego krótki tekst, który potraktowano jako wstęp do jednego z rozdziałów. Książka ta ma nieco inny charakter, przypomina bardziej socjologiczne studium, zwłaszcza jej pierwsza część. Nie wiem natomiast nic o planach przekładów innych dzieł Certeau. Tak na marginesie, ciekawa wydaje się z dzisiejszej perspektywy jego książka *Une politique de la langue* (Polityka języka), która dotyczy gwar we Francji od czasów rewolucji oraz prowadzonej przez kolejne rządy republikańskie polityki językowej mającej na celu narzucenie jednego, wspólnego dla całego narodu, języka. Język był rodzajem totalitarnego narzędzia, które miało umożliwić szerzenie ideałów rewolucji.

M. K.: Dobrze, że o tym powiedziałaś. Teraz przeczytam pytanie Małgorzaty Jankowskiej, naszej koleżanki zakładowej, która nie mogła przyjść, ale przesłała swoje uwagi mailem. Niektórzy sytuują Michela de Certeau w kręgu badaczy poststrukturalistycznych czy nawet pokazuje się niekiedy jego sympatie związane z postkolonializmem. W tym kontekście pada pytanie Gosi, pytanie o władzę... i antywładzę:

M. J.: Mam jedno pytanie, czy też wątpliwość dotyczącą Certeau. Mianowicie w świetle jego rozważań istnieje coś takiego jak władza, czyli jakaś mniejszość, panująca nad większością, czyli „szarym tłumem”. Tenże „szary tłum” wyrwa dla siebie szereg mikroswobod, operując mikrosprzeciwem czy też mikrobutem. Zasadniczo miałyby ów tłum cechować jakaś makiaweliczna przebiegłość – tak to rozumiem. I tu rodzi się moja wątpliwość. W świecie codzienności następuje współcześnie swoista redystrybucja władzy. Z jednej strony tłum niby podlega jakiejś „odgórnjej” manipulacji, z drugiej jednak to on manipuluje, to

¹ Mowa tu o książce P. Mayola, L. Giard i M. de Certeau, *Wynaleźć codzienność. Mieszkać, gotować*, która ukazała się w 2011 r. w Wydawnictwie Uniwersytetu Jagiellońskiego, także w tłumaczeniu K. Thiel-Jańczuk (przyp. red.).

właśnie wola większości decyduje o być albo nie być rzekomych „elit”. Tak się dzieje np. w obszarze konsumpcji kultury, gdzie kluczowym hasłem jest oglądalność, którą tu pojmuję szeroko. Pierwszy kontekst – telewizja. Widzowie pilotem decydują o ofercie programowej. To gustom tłumu trzeba schlebiać, by utrzymać się na rynku (abstrahując od finansów telewizji publicznej i jej być albo nie być w związku z abonamentem). Podobnie jest z Internetem, a także z szeroko pojętym marketingiem, który musi idealnie celować w potrzeby tłumu, żeby być skutecznym, żeby towar/usługa się sprzedały, a więc utrzymały na rynku. Podobnie jest też z czytelnictwem (kategoria bestsellera plus profile wydawnictw, które, nastawione na zysk, muszą schlebiać gustom tłumu). Dlatego pytam, jak w związku z tym jest z tą władzą i czy to aby nie nadużycie z tymi „mikroswobodami”? Dla mnie to raczej właśnie skala makro.

K. T.-J.: Pamiętajmy, że tekst powstał w latach 80. Certeau traktuje władzę telewizji jednak jako opresywną, ubezwłasnowalniającą. Ten biedny telewidz nie ma wyboru, to jest całkowite unicestwienie jego woli, takie jakby czytanie bez pisania. W sumie, w tym kontekście tekst Certeau jest nieco przestarzały, być może od tego czasu coś się zmieniło, telewidz jest dziś bardziej aktywny i angażowany przez twórców programów.

M. K.: Wydaje mi się, że po obu stronach istnieje przemoc symboliczna. Z jednej strony jest system szkolnictwa, który uczy, że zawsze czytamy i piszemy razem, że to są nierozdzielne czynności, wzajemnie od siebie zależne, natomiast z drugiej strony istnieje telewizja. Stanowi ona jakiś rodzaj buntu przeciw praktyce podporządkowania mowy pismu, ale – tak jak mówisz – ona jest także siłą ubezwłasnowalniającą.

P. J.: U Certeau przeciwieństwem telewidza jest czytelnik, gdyż może on jakoś odcisnąć swój znak w tym, co konsumuje, czyli w książce, może przepływać, przeskakiwać przez jej fragmenty, zagłębiać się w niej, zawieszać lekturę, powracać, angażować własne skojarzenia i pragnienia. Czy jednak przed telewidzem jest to wzbronione? To ostatnie z pewnością nie. Abstrahując już od systemu zapisu strumienia telewizyjnego najpierw przez system wideo, obecnie przez programy komputerowe, zauważyłem w rozważaniach Certeau, podobnie jak Gosia, pewnego rodzaju „dziurę w kształcie pilota”. A zatem gdy on opisuje telewizję jako coś, co blokuje indywidualną taktyczną produkcję, coś zamkniętego na interakcję, ja zadałem sobie pytanie: a co z pilotem...

K. T.-J.: Może wtedy nie było jeszcze pilotów.

(śmiech)

P. J.: Wystarczyło, że istniał więcej niż jeden kanał. Kiedy prowadziłem audycję w radio, instruowano mnie, że nie można zbyt długo i zbyt zawile mówić bez

jakichś dodatkowych pobudzających bodźców, bo słuchacz ma władzę w postaci jakiegoś pokrętle, pilota czy przycisku, władzę przeskoczenia na inną stację, wreszcie władzę wyłączenia. W ramach pojedynczej audycji radiowej czy programu telewizyjnego możliwości „skrytej produkcji”, analogicznej do tej, jaka ma miejsce w przypadku lektury, stają się rzeczywiście ograniczone, najlepsze audycje i programy to niejako te, które antycypują posunięcia swoich odbiorców, poniekąd wykonują je za nich, albo sugerują, że to uczyniły, unieruchamiając ich w pozycji biernej, czysto konsumpcyjnej. Umberto Eco mówił w przypadku powieści o współdziałaniu tekstu z czytelnikiem – „leniwy” tekst zostawia część pracy czytelnikowi do samodzielnego odrobienia. Telewizja zdaje się symulować taką relację. Telewizja czy radio musi działać w ten sposób, by odbiorca zapomniał, że ma w ręku pilota.

K. T.-J.: Trzeba by się też jednak zastanowić, w imię czego przełączamy kanały, czy są to naprawdę świadome wybory, czy nie jest to wynik uczestnictwa w masowym ruchu? Na przykład przełączam na *Taniec z gwiazdami*, bo przecież wszyscy to oglądają. Dochodzi tu do głosu pewien rodzaj społecznego instynktu stadnego, który te wybory dyktuje. To nie odbiorca decyduje. Przychodzi mi na myśl określenie Michela Maffesoliego: „trybalizm”, czyli rodzaj wspólnoty emocjonalnej, która łączy ludzi, to ten element organizuje współcześnie społeczne zachowania.

M. K.: Tak, te wszystkie wypowiedzi zahaczają już o kwestię, o którą chciałam właśnie zapytać. Niemal każdy tekst, w którym mowa o Michelu de Certeau, wspomina o jego dwóch sztandarowych pojęciach czy ideach.

K. T.-J.: Strategie i taktyki?

M. K.: Tak. Z naszej rozmowy wynika, że nie można w prosty sposób przeciwstawić sobie tych dwóch pojęć, one nie tworzą binarnej opozycji. Strategie nie są jedynie opresywne, a taktyki jedynie wyzwajające. Zarówno po stronie władzy instytucji, jak i siły tłumu można znaleźć źródło ubezwłasnowolnienia jednostek, może jest też jakaś strategia taktyk, niestety nie jest tak idealnie, że jednostka, wykorzystując jako członek społeczeństwa taktykę, może zbuntować się i uwolnić, uniezależnić. Musi przeskoczyć jeszcze władzę tłumu.

R. K.: O tym właśnie mówiliśmy. Wydaje mi się, że to są dwa rodzaje władzy – ta narzucona w ramach programu telewizyjnego czy dla osób, które np. nie mają kablówki, ograniczenie propozycji kanałów do „Jedynki” i „Dwójki”, które są jeszcze dodatkowo ideologicznie uwarunkowane. Druga władza to władza tłumu, dominujących tendencji, mód, przymus uczestniczenia w tym, w czym wszyscy uczestniczą. A taktyki to reakcja na oba typy władzy. Kiedy mamy w ręce pilota, to sobie taki *zapping* uprawiamy, bo często w nieświadomy spo-

sób szukamy czegoś dla siebie, nie interesują nas reklamy, wydeptujemy sobie ścieżkę, ale przecież nie w takim celu, by z tego powstał konkretny produkt.

P. J.: Certeau używa takiego określenia, jak „logika taktyk”. Odnajdywane na wielu polach taktyki próbuje uporządkować, a zarazem uchronić, gdyż ma świadomość, że udyskursawniając je, można z nich stworzyć narzędzie powoływania kolejnych strategii, wobec których będzie musiała powstać kolejna, jeszcze mniejsza nisza.

A. D.-W.: A ja myślę, że taktyk nie można traktować globalnie i dlatego wydaje mi się, że na pewno władzy nie ma tłum, że taktyki zawsze dotyczą innego, mniejszości, słabego.

K. T.-J.: To znaczy taktyki nie konstytuują się we władzę.

A. D.-W.: Dlatego Certeau tak mocno przeciwstawia się Bourdieu i Foucaultowi, gdyż pojęcie władzy jest tu nieadekwatne, mimo że Certeau sam się nim czasem, ale stosunkowo rzadko, posługuje, bo zastępuje je pojęciem autorytetu, jeśli chodzi o taką władzę dyskursywną, sposobnościami, wycuciem czasu. To jest też kategoria, którą Bourdieu wykorzystuje, ale pisze on, że wycucie czasu (ta sposobność) wymaga znalezienia się w odpowiednim miejscu, czasie, społeczeństwie, czyli wymaga habitusu, a wydaje się, że u Certeau ta sposobność jest możliwa do wypracowania przez jednostkę.

P. J.: Tak, tutaj jest zaakcentowana rola pamięci, prywatnego doświadczenia.

A. D.-W.: Dlatego ja czytam tę książkę z taką ulgą, że tłum nie ma władzy, że Foucault i Bourdieu się myślą. Taktyka jest rzadka, ale bardzo indywidualna.

K. T.-J.: To znaczy taktyka może się chyba rozgrywać zarówno w planie zbiorowym, jak i indywidualnym.

R. K.: Ja się właśnie zastanawiałem, czy kiedy mówimy o zbiorowych reakcjach wobec tego, co jest po stronie władzy, to czy jeszcze można mówić o taktykach.

K. T.-J.: Ale zbiorowość niekoniecznie jest władzą.

R. K.: Nie, ja wiem, ale jak myślę o chodzeniu i wydeptywaniu ścieżek w poprzek, to kiedy już siedemnasta osoba idzie tą wydeptaną ścieżką, to czy to jest jeszcze taktyka? Granica wydaje się bardzo nieostra.

M. K.: Nie, to już jest strategia.

K. T.-J.: Tak, taktyka przemienia się w strategię.

P. J.: To jest też ta polemika z Bourdieu, który dowodzi, że globalny czy społeczny porządek reprodukowany jest na mikropoziomie w ramach tego, co zwykło się uważać za bastion prywatności – domu. Dom u Certeau jest miejscem

dialektycznego napięcia między powszechnym a jednostkowym – oczywiście opiera się on na pewnych strategiach układów ulic, rozmieszczenia pokoi, praw własności i konwenansów, ale jest także miejscem otwartym na prywatne wspomnienia, gusty (choć prywatność gustów to kwestia dyskusyjna) czy wrażliwość. Wcześniej z kolei, wprowadzając opozycję strategii i taktyk, Certeau zaznacza, że strategie odnoszą się do miejsca, są zwycięstwem miejsca nad czasem, natomiast taktyki miałyby być takimi...

K. T.-J.: ...bezmiejscami.

P. J.: Dokładnie, a dom w optyce Certeau zdaje się być miejscem nieustannych taktycznych buntów, miejscem, które przekracza własne umiejscowienie (to podobna logika jak w przypadku literatury u Derridy).

R. K.: Kiedy czytałem ten fragment, od razu pomyślałem o opisach bloków PRL-owskich; mieszkania były tak zaprojektowane, że nie można było postawić gdzie indziej meblościanki i wersalki jak tylko na jednej ścianie, bo najzwyczajniej nie było innej możliwości. Tam nie ma miejsca na taktykę.

M. K.: Jest np. japoński styl, minimalizm...

R. K.: W PRL-u?

M. K.: Nawet w PRL-u mogłeś sobie sam zmontować meble w stylu japońskim.

P. J.: Ale nawet i wówczas, gdy wszędzie mamy to samo mieszkanie, ten sam układ mebli i ścian, może znaleźć się czterdziestu kilku ludzi, którzy na swój sposób będą się po nim poruszać, nie wydeptując ani razu tej samej ścieżki (myślę tu, oczywiście, o *Tangu* Rybczyńskiego).

M. K.: No właśnie, ale wróćmy jeszcze do Certeau i problematyki domu. Miałam pewien problem związany z legendą miejsca zamieszkania. Z jednej strony Certeau pisze, że właśnie brak legendy umożliwia zamieszkanie jakiegoś miejsca. Przytaczał wypowiedź pewnej kobiety, która tłumaczyła przeprowadzającym wywiad, że tutaj nie ma nic specjalnego, tu jest tylko jej mieszkanie. To „nic specjalnego”, brak mityzacji tego miejsca sprawia, że to dobre miejsce do mieszkania, ale z drugiej strony Certeau pisze, że my właśnie budujemy legendę miejsc zamieszkania. Czy to sprzeczność?

K. T.-J.: Może chodzi tu o kwestię nienazywalnego. Ta kobieta ma poczucie, że jest to jakieś jej specjalne miejsce, natomiast kiedy zaczyna się je definiować, przeraża to zwykłych ludzi, bo przecież nie o to chodzi, żeby nazywać, tylko kwestia jest w poczuciu przynależności.

A. D.-W.: Nie na pokaz. Mieszkanie nie jest na pokaz.

P. J.: Można tu też wspomnieć o instytucjonalnych nazwach własnych – ulic, skwerów, parków – które są naznaczone pamięcią: Kościuszko, Dąbrowski, Kopernik itd. Pamięć historyczna, instytucjonalna ustępuje częstokroć miejsca pamięci prywatnej. Nazwy własne stają się naprawdę własne – nasze własne. Mamy swoją historię na Kościuszki, bo tam pierwszy raz się spotkaliśmy, ulica Słowackiego kojarzy się...

M. K.: z tym, że Rafał tam mieszka...

P. J.: No właśnie, a nie że wieszcz podróżujący i *Lilla Weneda*...

K. T.-J.: Na taką oficjalną sieć nazw nakłada się nasza prywatna.

R. K.: A tamta w ogóle nie jest brana pod uwagę albo jest zniekształcona. Poznań jest dobrym przykładem, bo np. Poznaniacy mieszkają na Samarzewskiego (oryginalna nazwa to Szamarzewskiego). W ogóle nie wiedzą, jak się nazywał ten ktoś, kogo nazwiskiem opatrzona jest nazwa ulicy (nie mówiąc już o tym, kim ten ktoś był).

K. T.-J.: Z tym jest też związany odruch, że bezwiednie jesteśmy wierni nazwom dawnym. Ja bardzo długo mówiłam, że idę na Lampego, a nie na Gwarną, mimo że to Lampego wołałabym wyrzucić z pamięci... Miejsce oddziela się od nazwy.

R. K.: Albo nie ma aż tak wielkiego znaczenia.

P. J.: Ale zarazem ile konfliktów wokół tego narasta. Powstaje nowe rondo i pytanie: czyje imię mu nadać? Wielka akcja przemianowywania po 1989 roku ulic kojarzących się z czasami tak zwanej komuny. Setki osiedli trzydziesto- czy czterdziestolecia porzucanych po całej Polsce. Czterdziestolecia czego? – chciałoby się zapytać ich mieszkańców, zwłaszcza co młodszych. Ktoś chce nadać szkole imię Jana Brzechwy albo Lecha Kaczyńskiego i nagle, choć bynajmniej nie z tych samych pobudek, setki protestów, a przecież te nazwy stają się nieistotne, jak wynika z naszej rozmowy.

M. K.: Ale jednak ta nazwa jest cały czas na językach, a częstotliwość użycia rodzi władzę, tak jak to było w przypadku wydeptywania ścieżek, taktyka przekształca się w strategię w miarę częstości jej używania. Siedemnasta osoba wydeptyująca tę samą ścieżkę niejako ją uprawomocnia.

P. J.: Zauważyłem też, że coraz częściej przy nazwach ulic, np. w Poznaniu na Fredry, obok nazwy są krótkie notki biograficzne.

(śmiech)

M. K.: No tak, żeby już wszyscy wiedzieli.

R. K.: Większość mieszkańców ulic nie wie, na czyjej ulicy mieszka.

A. D.-W.: Bo rządzi zasada ekonomii. Minimum wysiłku, maksimum efektu. Nie jest to potrzebne. Dziś rano pokłóciłam się z mężem i powiedziałam, że taktyki są ekonomiczne – minimum wysiłku, maksimum efektu, a on wtedy powiedział, że dlatego wszystkie wynalazki kuchenne wynaleźli mężczyźni. Ja powiedziałam wtedy, że za prosto to rozumie, bo to, że kobieta za każdym razem robiąc pieczeń obcina mięso z dwóch stron, bo tak robiła jej prababcia, mająca za krótką brytfankę, nie oznacza, że wiedząc o tym, kobieta ma przestać to kultywować, bo ma odpowiednio długą brytfankę. Ona czuje ciągłość i tak ją kultywuje. Tradycja też może być taktyką, nie muszę siadać w ciszy i spokoju w fotelu, myśląc o babci, ale mogę kultywować pamięć, wykonując pozornie absurdalne czynności. Korzyści z wynalazków technicznych wcale nie są jednoznaczne.

P. J.: Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na pewną charakterystyczną dla Cer-teau manierę argumentacji. W tym aspekcie kojarzy mi się on z Foucaultem, który częstokroć bazuje nie na przykładzie, ale na analogii, takiej strukturalnej analogii, do której dociera z miejsca, zdawałoby się, kompletnie odmiennego, i dopiero po przystanku na tej odległej drodze czyni obiekt swych podstawowych dociekań widocznym i rozumiałym. Jakby można było do niego dotrzeć wyłącznie okrężną drogą. Taka zasada zaskoczenia, metafory, spięcia elementów, które intuicyjnie zdają się odległe...

M. K.: Moim zdaniem to dekonstrukcjonistyczna praktyka.

P. J.: Być może. W każdym razie istnieje tu znaczne ryzyko narażania się na podejrzenia, że te dwie wzajemnie naświatlające się strony są dla zasady oddalane, w imię pewnej...

A. D.-W.: Taktyki.

P. J.: No tak, można tak powiedzieć.

M. K.: W ramach taktyki odnajdywania innego miejsca.

P. J.: To ładnie brzmi, co nie zmienia faktu, że czasem wygląda tak, jakby Cer-teau z zasady nie dowierzał niczemu, co bliskie.

A. D.-W.: Dla mnie to jest zabawa czasem i przestrzenią, bo oddalanie to jest też opóźnianie, to jest ten efekt, który Derrida nazywa „zluzowaniem”: możesz sobie rzeczywiście przemyśleć te rzeczy na nowo. Gdy trzymasz się przykładów, wtedy zajmujesz się oczywistościami. Najmniej ciekawa w naszej debacie wydaje mi się dyskusja o nazwach ulic. Co to jest codzienność? To nie są rzeczy, które robimy, jak wyjdziemy stąd, picie herbaty czy *profanum*. Codzienność to coś, co spina w całość sens życia, ale to jest straszny banał, więc trzeba to ująć w innych kategoriach. On nie chce też tego ująć w kategorii narracji, dyskursu.

M. K.: Tak, ale szeroko rozumie te pojęcia.

A. D.-W.: I pokazuje, że zawsze jedna rzecz odbywa się kosztem innej, że jak próbujesz to uchwycić narracyjnie, to coś ci umyka i trzeba zobaczyć to, co umyka, m.in. sam czas. Certeau to taki Proust humanistyki.

R. K.: Czyli dobrze rozumiem, że poziom taktyk to jest codzienność.

A. D.-W.: Tak, tak mi się wydaje. Ale zwróćmy uwagę, jak mało mamy tej codzienności; mi się wydawało, że codzienność to jest 99% mojego życia, a jak czytam Certeau, to okazuje się, że tych taktyk, miejsc mojej codzienności, jest mało.

M. K.: A może ty ich po prostu nie zauważasz?

A. D.-W.: Jako humanistka jestem do tego zmuszona, do ujmowania mojego życia w kategoriach przemocy, władzy, telewizji... wszystkich innych mediów. Ciągłe są mi pokazywane miejsca, gdzie nie jestem sobą. Niedawno byłam na seminarium o maskach. Wszyscy zakładamy maski, a codzienność nie jest naturalnym stanem, ale takim wyróżnionym stanem prawdy – znalezienia miejsca tam, gdzie go fizycznie nie ma. To jest coś w rodzaju bezmiejsca. Świetnym przykładem jest film *Gattaca*. Bohater znajduje swoje miejsce wśród doskonałych (genetycznie), mimo że sam doskonały nie jest. Film opowiada o tym, jakich taktyk ciągle używa, by to osiągnąć. Objęte taktyką zostaje coś, co wydaje się nie podlegać taktyce – „natura” genetycznego uposażenia. I to jest też metafora naszego stanu. Ludzie świadomi muszą stosować więcej taktyk, żeby uratować minimum codzienności.

M. K.: Humanistyka jest tak nakierowana na strategię, a nie na taktyki, że my widzimy całą tę przemoc, a nie widzimy, ile jest nas w nas... nas taktycznych, indywidualnych. Zatem to nie jest tak, że 99% naszego życia to strategię.

R. K.: Tak, ale stwierdzamy to dopiero *post factum*, bo nie możemy z pełną świadomością żyć, twierdząc, że zawsze zrobimy inaczej.

K. T.-J.: Jest jakiś poziom nieświadomości taktyk.

R. K.: To, o czym mówisz, Agnieszko, o tym, że wiemy, co to jest codzienność, i że w niej uczestniczymy, a więc że codzienność jest na poziomie taktyk, to jest rewolucyjne odkrycie. Im bardziej zdajemy sobie sprawę z taktyk, tym mniej nam tej codzienności zostaje, dlatego tak wiele się tu wymyka i te taktyki faktycznie jest trudno opisać. Dlatego chyba najbardziej potoczne i zarazem doniosłe odkrycie Certeau dotyczy codziennych praktyk jako swego rodzaju „twórczości”. Już we wstępie podkreśla on przecież ową „twórczość zwykłych ludzi”. Mam co prawda wątpliwość, na ile w przypadku tej „twórczości” można mówić o intencjach czy autorefleksji, niewątpliwie jednak koncepcja ta – po-

mijając całe jej zaplecze socjologiczne i semiotyczne – staje się bardzo bliska skóry, codziennej egzystencji.

P. J.: Dla mnie przykład czytelnika, o którym wspomniałem, obecny zresztą i we wstępie, i w osobnym rozdziale, jest najmocniej rozwiniętym wątkiem dotyczącym tego, co faktycznie w ramach taktyk można robić. Ta taktyka lektury daje się opisać, poetycko i wyczerpująco, tam też zasada taktyczności najpełniej się objawia, dodatkowo w zderzeniu ze strategicznym porządkiem tekstu (począwszy od pozycji, którą narzuca on czytelnikowi, przez kolejność rozdziałów, stron, akapitów, skończywszy na tym, co umownie można nazwać „przekazem”). Kolejnym przykładem był ten z *perruques*: szklarze, którzy po godzinach pracy dla własnej przyjemności wyrabiają artystyczne przedmioty, korzystając z resztek materiałów niewykorzystanych w industrialnej produkcji. Inne taktyki pozostają niejako za mgłą, odległe, a wszak książka jest owocem skrupulatnych jakościowych badań. Pytanie o tytuł... Czy fraza „wynaleźć codzienność” znaczy wynaleźć ją jako przedmiot badań, który umykał wszelkim statystykom ujmującym jedynie samo użycie, a nie jego sposoby? Czy też wynaleźć – dać pewne wyobrażenie, czym ona jest – i nie wchodzić dalej, nie tworzyć z niej dyskursu? Czy też wynaleźć codzienność dla nas: uwrażliwić czytelnika na drzemającego w nim rewolucyjnego ducha taktyk? Certeau nie chciał chyba inicjować jakiejś nowej gałęzi w humanistyce. Ta książka jest w pewnym sensie jednorazowa, bez pragnienia kontynuacji, bez myśli o następcach.

M. K.: Nie zgadzam się.

P. J.: Opozycja strategii i taktyk to wspaniałe narzędzie o wielkich możliwościach aplikacyjnych. Zmierzam jednak do tego, że – jak zauważył Rafał – im więcej w tym temacie będziemy wiedzieć, tym bardziej będziemy skrępowani. Z kolei nie wiedząc zupełnie nic, będziemy z jednej strony spacyfikowani, z drugiej – niedoinformowani czy informowani błędnie (pracę Certeau odczytuję jako pewną korektę rozszerzającą pole widzenia tak jednostki, jak socjologii). Wydaje mi się, że Certeau musiał być świadomy, iż im bliżej jest fenomenowi, który opisuje, tym mniej z tego fenomenowi pozostaje. Że trzeba w pewnym momencie się zatrzymać, wyczuć odpowiedni dystans, który pozwoli zdać sprawę, dać wyobrażenie tego, o czym mowa, a jednocześnie zachować właściwą mu i kluczową dla niego nieuchwytność, nienamacalność. Pisanie narażone jest na kolaborację ze strategiami, pisze się po to, by zmniejszać dystans, tylko że nie da się tego robić w nieskończoność. Stąd ta moja uwaga o braku miejsca dla następców.

M. K.: Ten tekst jest dla mnie konsekwencją myśli semiotycznej i w pewnym sensie także myślenia strukturalistycznego, ale jest też zarazem przekroczeniem tego rodzaju refleksji. Taką inspirację najwyraźniej widzę we fragmen-

tach o rozrzedzaniu i zagęszczaniu tekstowym. U innych semiotyków, choćby u Hjelmsleva, są już takie strategie, ale Certeau przenosi to na płaszczyznę empirii społecznej, robi badania socjologiczne, w mieście, pragmatyczne.

P. J.: Ale tego tutaj nie widać. Mało tu jest odwołań do tych badań.

K. T.-J.: W drugim tomie, o którym mówiliśmy wcześniej, jest więcej takiej ścisłej socjologicznej pracy.

R. K.: Ja sobie uświadomiłem, czytając opisy przykładów z życia, że to samo wcześniej robił np. Lévi-Strauss, ale Certeau poszedł inną drogą. On założył, że sprawy widoczne na pierwszy rzut oka, wyłaniające się jako struktury, jest stosunkowo łatwo opisać, a zostaje cała reszta, to, co wymyka się strukturze. I to wydaje mi się jego największym osiągnięciem, i to zdecydowało może o sukcesie książki. Zresztą, nawiązując do wypowiedzi Piotra, tutaj szukałbym sensu tytułowego „wynaleźć”.

M. K.: Stąd też odwołania do dekonstrukcji i psychoanalizy.

K. T.-J.: To chyba też tłumaczy pewną literackość tego tekstu. Już pomijam duże nasycenie nawiązaniami literackimi i malarskimi, ale literackość ta jest też taktyką nieteoretyzowania. W jednym z rozdziałów Certeau pisze o fikcji teorii. To teoria, a nie literatura, jest dla niego fikcją. Literatura jest inna.

R. K.: Bo opisuje indywidualne przypadki.

K. T.-J.: Być może dlatego też te wszystkie ankiety i badania zostały pominięte w tym tomie i uwzględnione dopiero w drugiej części.

M. K.: Chociaż ja cały czas czułam ten powiew badań rzeczywiście przeprowadzanych, oczywiście to jest socjologia jakościowa, a nie wykresy i liczby.

P. J.: Nie traktuję tego jako zarzut, ale jako pewną ostrożność, ochronę newralgicznego pola, które Certeau bada. A nawet gdy przywołuje fragmenty bezpośrednich słów swoich respondentów, to one są traktowane jako forma poezji. One nie mówią nic konkretnego, tylko właśnie: tu jest nasze miejsce. Nie ma tu nic specjalnego, tylko miejsce mojego zamieszkania. Te słowa niczego nie dowodzą, nie stanowią przykładów popierających tezy. Są ilustracjami w poetyckim sensie tego słowa. Współtworzą wspomnianą literackość całego tekstu.

R. K.: Myślicie, że można porównać tę książkę z *Mitologiami* Barthes'a i z *Semiotologią życia codziennego* Eco? Cel, wydawałoby się, jest podobny.

M. K.: Czyli zainteresowanie codziennością?

R. K.: Tak. Ale chodziłoby o coś więcej – o próbę uzupełnienia tego wielkiego projektu humanistyki, którym miała być semiotyka kultury. Uzupełnienia, bo wcześniejsze dokonania semiotyków zdołały dość skutecznie zamknąć wszel-

kie obszary życia i twórczości człowieka w sieć znaczeń. Pozostała codzienność, potoczna egzystencja: obszar czynności dyskretnych, niezauważalnych, niepozornych, nieświadomionych, a jak się okazuje – determinujących inne praktyki, o kulturowym już raczej wymiarze, a co za tym idzie – całą kulturę. Właśnie dlatego do wielkich „wynalazców” codzienności – Barthes’a i Eco – dołączyłbym Certeau.

A. D.-W.: Ale tu są Kantowskie kategorie zmysłowości – czas i przestrzeń, a mitologie opisują pewne wydarzenia, do których autor ma dystans, widzi je jako schematy. Tutaj autor, Certeau, jest w tym czasie zanurzony i jest zanurzony świadomie. To, co Bourdieu nazywa traceniem czasu – bo Bourdieu też posługuje się pojęciem strategii i mówi, że podstawową strategią, którą podejmuje podmiot, jest tracenie czasu – Certeau nazwałby raczej zyskiem, wytwarzaniem, produkcją sensu. Ten sens nie musi być ponadczasowy, uniwersalny, choć w Barthes’owskim rozumieniu może być mityczny i skoro służy taktykom, to po co go demitologizować? Barthes by od razu, tak mi się wydaje, zmitologizował te „taktyczne” elementy.